

GRZEGORZ PRZEBINDA

Na Cmentarzu Łyczakowskim, opodal kwatery polskich Orłąt Lwowskich i ukraińskich Strzelców Siczowych, leżą młodzi chłopcy Ukrainy, polegli w latach 2014–2022 podczas wojny obronnej przed Rosją. Miejsce na nowe groby się skończyło.

LWOWSKI TRYPTYK PODRÓŻNY

2 stycznia 2023 – po czterech i pół roku przerwy, znowu we Lwowie. Tak samo jak wtedy, w lipcu 2017 wraz z Dominikiem Wróblem z Jasła, tak samo witani i oprowadzani po mieście przez Jarosława Uhryna, prorektora tutejszej Akademii Drukarstwa, i tak samo zakwaterowani w przytulnym hotelu Herold w północnym Szewczenkowskim rejonie miasta. Tyle że, jak pisała już Szymborska, „nic dwa razy się nie zdarza”, a pierwszą kolosalną różnicę – podróżując jak wtedy wygodnym pociągiem Kolei Ukraińskich relacji Przemyśl–Kijów – dostrzegliśmy boleśnie od razu na dworcu. Dokładniej zaś przed zamkniętymi naглуcho drzwiami specjalnego peronu z szerokimi torami, skąd właśnie wyrusza bezpośredni pociąg z Przemyśla do Kijowa. W lipcu 2017 roku okazaliśmy bilety, weszliśmy spokojnie do pociągu, wczoraj zaś trzeba było ustawić się w półkilometrowej kolejce, z chyba pół tysiącem kobiet i dzieci wracających do ojczyzny na przypadające 7 stycznia prawosławne i greckokatolickie Boże Narodzenie.

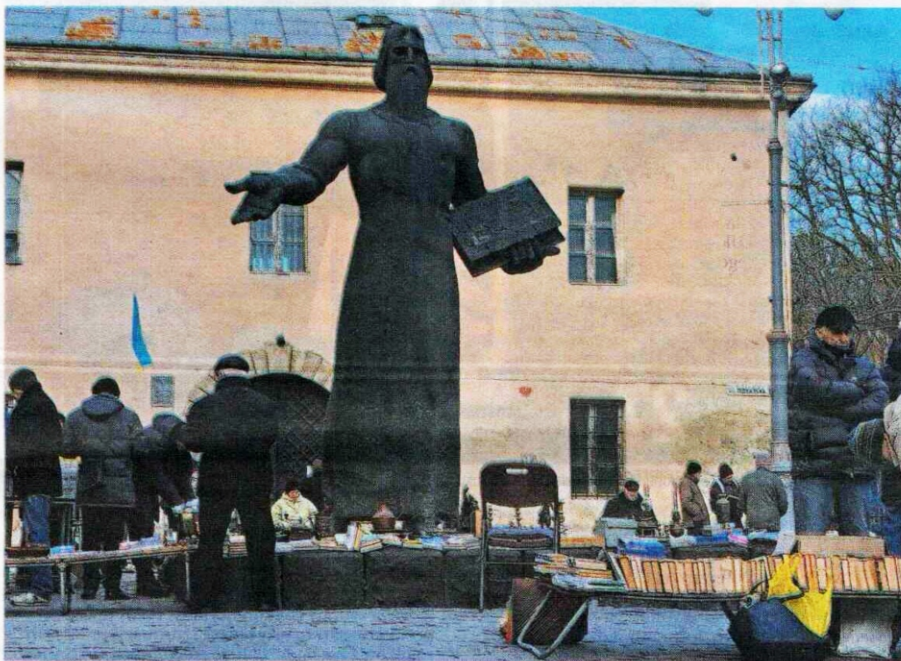
Stać trzeba było prawie trzy godziny, co przyjęlibyśmy z pokorą, gdyby nie fakt, że to przestępowanie z nogi na nogę spowodowane było fatalną organizacją pracy polskich pograniczników w Przemyślu. Są już oni na szczęście teraz – nowe w końcu pokolenie! – bardziej niż kiedyś ludzcy, jednak kiepsko sobie radzą z paszportowo-celną procedurą i kontrolą przeprowadzaną już na dworcu w Przemyślu.

W tym wlokącym się niemilosiernie czasie Ukraincy – my byliśmy w tym karnym kolejkowym wężu chyba jedynymi Polakami – matki z dziećmi, starsze kobiety na wózkach inwalidzkich wyczekiwały upragnionego otwarcia bramy na peron. Było na szczęście ciepło, krzywdą z zimna nikogo nie spotkała, nikt się nie skarżył. Jedynie w pociągu niedaleko nas para emerytów ponarzekała sprawiedliwie po ukraińsku, że nie zdążą w Kijowie przed nocą na lokalny pociąg do domu. Inna kobieta, ta obok nas na siedzeniu, rozmawiała z bliskimi przez komórkę „surżykiem”, to jest mieszańką ukraińskiego i rosyjskiego, podczas gdy obserwowane przeze mnie jeszcze w kolejce dzieci nawoływały się po ukraińsku: „Ira, Ira, szwydenko sjudy, ty hocesz zalytyszysia tut na platformi?!” („Ira, Ira, szbituok tutaj, czy chcesz zostać tu na peronie?!”) – wołała z niepokojem starsza siostra do młodszej.

Z kolei niestara babcia jeszcze przed peronem dwukrotnie powtórzyła do pięcioletniego wnuka wyrazistą ruszczyzną: „Eto uże czertowski nadojeło, czertowski nadojeło” („Można już tego mieć diabelnie po uszy, diabelnie po uszy”). Słowa – jak słycać – mocne, jest to tzw. czertychanie niezalecane skądinąd w ruszczyźnie, a już tym bardziej wobec dzieci. Pewna słuźnotka Anna Ryszardowna w „Mistrzu i Małgorzacie” tak ubolewała nad losem Prochora Piotrowicza, swojego służbowego kochanka na stanowisku dyrektorskim: „Zawsze mu powtarzałam, żeby nie igrał z diabłem, gdy przeklina! Ale nie słuchał i w końcu się dograł!”.

Miasto króla Daniela

Wszyscy wreszcie z ulgą wsiadają, do Lwowa dojeżdżamy w ciągu półtorej godziny, zapominamy momentalnie o ponaddwugodzinnym spóźnieniu, bo na dworcu już czekają na nas Jarek Uhryn i Orest Hamuła z Akademią Drukarstwa. Od razu zanurzamy się autem w przestrzeń miasta, podświadomie nasłuchując i wypatrując odgłosów wojny. Na



Pod pomnikiem XVI-wiecznego drukarza **Iwana Fiodorowa vel Fedorowicza**, na ulicy Priwalnej, od dawna handluje się książkami

zewnątrz nic nie widać, przeciwnie – młodzi ludzie, bo takie ich święte prawo, hasają po ulicach, czekają w długich – nie takich oczywiście jak ta w Przemyślu – kolejkach do kawiarni czy restauracji na ich kieszeń, gdzie ciepłymi wieczorami, nawet w dni jak ten poniedziałek powszednie, ponoć zawsze brakuje miejsc.

Sam poprosiłem, by przyjaciele zabrali nas pod pomnik ulubionego przeze mnie księcia Rusi Halicko-Wołyńskiej – Daniela Romanowicza (1201–1264), założyciela Lwowa ok. 1255, władcy z dynastii Rurykowiczów. Jako jedyny na całej ogromnej Rusi posiadał on tytuł królewski (rex Russiae). Król Daniel to twórca potęgi państwa halicko-włodzimierskiego albo Królestwa Ruskiego, powstałego ze zjednoczenia księstwa halickiego oraz ziemi wołyńskiej. W XIII wieku państwo halicko-włodzimierskie, które nie uległo w takim stopniu naporowi Mongołów jak Ziemia Kijowska, stało się nowym centrum średniowiecznej Rusi i jej oknem na ówczesną Europę.

Późniejsza tradycja moskiewska przemilczyła znaczenie Rusi Halicko-Włodzimierskiej. Jej dzieje traktowane były jedynie jako wstęp do historii późniejszego państwa moskiewskiego i petersburskiego imperium carów. Całkowicie zresztą, choć pewnie nieświadomie, w duchu historiozofii Hegla, który uważał, iż na historię zasługują jedynie te narody, które w danym momencie – a były to jeszcze lata 20. i 30. XIX w. – posiadają państwo. Ukraina, gdy to swoje państwo zaczęła wreszcie po 1991 budować, nie tylko przypomniała sobie postać króla Daniela Halickiego, ale i wzniosła mu we Lwowie na placu Halickim brązowy posąg konny na granitowym piedestale, który mienił się dziś po południu w fantastycznym styczniowym słońcu barwami Ukrainy.

Obok przy ulicy Serbskiej w samym centrum Lwowa młody człowiek śpiewa już wieczorem, wspomagając się elektroniczną aparaturą, nieznane mi, niestety, pieśni ukraińskie, ale młodzież – zebrana licznie dookoła – musi je dobrze znać, bo podśpiewuje melodyjnie.

Wojny – jak mówili – na ulicach nie widać, lecz gdy napomknąłem o tym portierowi w hotelu, który mi szykował rano o piątej wrzątek („okrip”) do kawy, to mężczyzna – też mówiący przyzwoicie po polsku – wyraźnie się zachmurzył: „Mój syn, 38 lat, żonaty, jest teraz na froncie pod Sumami, poszedł jako ochotnik, bo służył wcześniej w armii, do obrony terytorialnej. A skierowali go razem z tysiącem innych – po przeszkoleniu koło Jaworowa pod Lwowem – właśnie pod Sumy. Ma tam nie dopuszczać do akcji sabotażowych specjalnie w tym celu przeszkolonych »rosyjskich braci« zza miedzy. I dopowiada: »Sam służyłem w wojsku jeszcze w czasach radzieckich w Leningradzie. Piękne miasto, dobrzy wtedy ludzie. I co ta propaganda z nimi narobiła... Uwierzyli, że to my chcemy ich napadać».

Poszliśmy z ukraińskimi przyjaciółmi po Lwowie, pójdziemy na Cmentarz Łyczakowski, pod pomnik XVI-wiecznego drukarza Iwana Fiodorowa, w Rzeczypospolitej, a także i w dzisiejszej Ukrainie nazywanego Fedorowiczem. To jedyna skądinąd postać uhonorowana na pomnikiem zarówno we Lwowie, jak i w Moskwie. Z tej ostatniej jednak za Iwana Groźnego wygnano go do Rzeczypospolitej. Pod lwowskim pomnikiem na ulicy Priwalnej ludzie od dawna handlują książkami, bywałem więc tam i ja podczas swych licznych wcześniejszych pobytów we Lwowie w latach 2002–2017 naprawdę wielokrotnie.

Poszliśmy zatem najpierw na bazar książkowy pod Fedorowiczem, gdzie różnorodnego ongiś bogactwa teraz już, niestety, nie ma. Ludziska wyprzedają resztki literatury po rosyjsku, oglądałem tam pięciotomowego Szekspira w przekładzie, były też „internacjonalistyczne” pozycje typu – „Kuchnia Rumynii”, było w oczy ekskluzywne wydanie „Pana Tadeusza” w dobrym tłumaczeniu na rosyjski Zuzanny Mar (Aksionowej), dwutomowa „Słowniśca encyklopedia”, wydana w 2010 w Moskwie z hasłami o historii Rusi i Rosji od samych początków do końca XVI w., skonstruowanymi w wielkorusyjskim duchu Karamzina. Leżało też trochę książek po polsku, m.in. z baciarskimi piosenkami o Lwowie, a z niezbyt licznych prac ukraińskich rzucała się w oczy 12-tomowa „Historia Ukrainy-Rusi” Mychajła Hruszewskiego, wydana w Kijowie w 1991–1997 (pierwsze wyd. w 1895–1933).

Obecnie Mychajło Hruszewski (1866–1934) wchodzi do dziesiątki najbardziej popularnych Ukraińców, zajmując tam – według sondażu „Forbesa” z listopada 2022 – wysokie 6. miejsce (11,6 proc. głosów), ale wyraźnie za porażką Tarasem Szewczenką (63,9 proc.), Wołodymyrem Zelenskim (29,8 proc.) i poetką Lęsią Ukrainką (19,6 proc.). Sam Hruszewski wysokie miejsce zawdzięcza głównie temu, że po rewolucji lutowej, która obalila carat, był on od marca 1917 do kwietnia 1918 przewodniczącym nowo powstałej, niepodległościowej Ukraińskiej Centralnej Rady w Kijowie. Struktury, niestety, tylko sezonowej, która pod koniec kwietnia 1918 została obalona w wyniku przewrotu wojskowego innego Ukraińca – hetmana Pawła Skoropadskiego, działającego w porozumieniu z okupacyjnymi władzami niemieckimi. Niepodległa Ukraina Republika Ludowa została przezeń przymusowo przekształcona w niemiecki protektorat – Hetmanat Ukraiński. Na wspomnianej, pstrej składniad liście „Forbesa” rzezony Skoropadski – notabene dawny generał carski, a nawet i fligel-adiutant Mikołaja II – znalazł się na 40.

Hruszewski był pierwszym prezydentem Ukraińskiej Republiki Ludowej, której hymnem stała się znana dziś w całym wolnym świecie „Szczę nie wmerła Ukraina”. Tuż przed wyjazdem do Lwowa przeczytałem jeszcze w „The Economist”, że w stosach papierów leżących na biurku prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zelenskigo wyróżniają się dwie książki. Jedną z nich to zbiór esejów z zakresu historii Ukrainy autorstwa Hruszewskiego. Druga to „Hitler i Stalin. Tyrani i druga wojna światowa” autorstwa angielskiego historyka Laurence’a Reesa.

Mając już w domowej bibliotece obie te publikacje, pod pomnikiem Fiodorowa vel Fedorowicza we Lwowie kupiłem jedynie dwie cenne książeczki. Pierwsza – nabyta, jak widzę, za sprawą nieprzemijającego szacunku i sentymentu – to nieznaną mi wcześniej moskiewska edycja opowiadań Solżenicyna z 1989, z nieśmiertelnym, lagrowym „Jednym dniem Iwana Denisowicza” (1962), kiedyś kosmicznej wręcz sensacji okresu odwilży Chruszczowa. Solżenicyn w kwietniu 1981 r. w jednym z listów napisał: „W moim serdecznym odczuciu nie ma miejsca dla ukraińskiego konfliktu. A jeśli, nie daj Panie Boże, doszłoby do skrajności, to mogę powiedzieć, że nigdy w żadnych okolicznościach ani sam nie pójdę, ani synów swoich nie puszcę na rosyjsko-ukraińską wojnę. Niezależnie, jakby do niej nas ciągnęły szalone głowy”.

Udało mi się też kupić „Słowo o wyprawie Igora” w pięknym tłumaczeniu Maksyma Rylskiego na ukraiński. Po polsku staroruski ów epos z końca XII stulecia żyje w pięknym przekładzie Juliana Tuwima, w współczesnym rosyjskim – przede wszystkim w tłumaczeniu Wasilija Żukowskiego, który notabene miał wydatny udział w wykupieniu w 1838 z niewoli pańszczyźnianej Tarasa Szewczenki.

Po polsku, w brawurowej wersji Tuwima, brzmi to tak:

*„Nie zdatożby się bracia miłi,
Starodawnymi zacząć słowy
Smutną opowieść o mozołach
Onej wyprawy Igorowej?
Przystoi zasie pieśń tę począć
Nie jako Bojan zwykł przesławny,
Lecz wedle podań tego wieku”*

No więc patrzmy także i my na bratnią Ukrainę „wedle podań tego wieku”, a nie poprzez okulary archaicznego wszechukrainizmu. Ponieważ jednak nie samym „Słowem...” żyje człowiek, to i ja wszedłem jeszcze wraz z ukraińskimi przyjaciółmi do przebogatej, acz spokojnej księgarni w centrum Lwowa, skąd właśnie zabieram

do Polski osiem nowych książek ukraińskich – m.in. Serhija Żadana, Oksany Zabużko, Jurija Andruchowycza i wielce utalentowanej Sofiji Andruchowycz.

Oczami Konopnickiej i Orдона

Maria Konopnicka wyruszyła w swą ostatnią w życiu podróż 15 września 1910 r., a jej szlak prowadził z podkrośnieńskiego Żarnowca na Podkarpaciu, gdzie od września 1903 r. mieszkała w dworku danym jej przez naród, do oddalonego o nieco ponad 200 km Lwowa, wówczas stolicy całej Galicji. Jechała w sumie sześć godzin. We Lwowie zaniemogła na płuca i umarła 8 października 1910 r. w miejscowym sanatorium Kisielki. Na grobie poetki na Cmentarzu Łyczakowskim widnieje fragment jej wiersza:

*„Proście wy Boga o takie mogiły,
Które lez nie chcą, ni skarg, ni żalości,
Lecz dają sercom moc czynu, zdróką siły
Na dzień przyszłości...”*

Odwiedzałem wcześniej lwowską nekropolię dwukrotnie – pierwszy raz podczas pielgrzymki Jana Pawła II do Lwowa pod sam koniec czerwca 2001 r., a po raz drugi – latem 2013 r. w towarzystwie koleżanek i kolegów z uczelni im Stanisława Piłonia w Krośnie, podczas naszej podróży po Wołyniu i ziemi lwowskiej. Wtedy absolutnie nikomu z nas do głowy przyjść nie mogło, że nie-



Adam Mickiewicz stoi w Mieście Lwa nieprzerwanie od 1904 r. Nigdy dotąd pomnik nie został uszkodzony. Polski wieszcz jest dziś chroniony przed rodakami Puskizina oraz ich „wyzwolicielskimi raketami” metalowymi osłonami

bawem na tym cmentarzu – opodal kwatery polskich Orłat Lwowskich i ukraińskich Strzelców Siczowych – leżą młodzi chłopcy Ukrainy, polegali w latach 2014–2022 podczas wojny obronnej przed Rosją. Ich wspólna kwatery na Cmentarzu Łyczakowskim, licząca dzisiaj dobrych kilkadziesiąt młodych grobów, nie może już z braku miejsca przyjmować nowych ofiar. Kolejne chowane są obecnie w rytmie, niestety, ciągłym na przylegającym do cmentarza lwowskim Polu Marsowym.

Przyprawiała nas w te niepojęte dla rozumu człowieczego miejsca Hałyna Kimak z Akademii Drukarstwa, opowiadająca zarazem swobodną polszczyzną o ponaddwustuletniej historii tego cmentarza, gdzie spoczywają także polscy powstańcy styczniowi, którzy odnaleźli azyl przed Rosją właśnie w zaborze austriackim w Galicji.

3 stycznia 1998 r. spotkali się na Łyczakowie ówczesni prezydenci Ukrainy i Polski – Leonid Kuczma i Aleksan-

der Kwaśniewski, oddając tam wspólny hołd ofiarom polsko-ukraińskiej bratobójczej wojny w latach 1918–1919 – w imię naszej przyjaźnej i dobrej przyszłości. Dziś upamiętnia to spotkanie półokrągła ścianka z czerwonej cegły, nie podając jego daty, a i z napisem też czemuś wyłącznie po ukraińsku: „Na porozi XX stollittia pamiatnijmo pro minule, ale dumajmo pro majbutnie” („U progu XX wieku pamiętajmy o przeszłym, ale myślimy – o przyszłości”). Dobre i to.

Konopnicka apeluje z Łyczakowa „o takie mogiły, które lez nie chcą, ni skarg, ni żalości”, jednakże obok kwatery poległych w ostatnich latach młodych Ukraińców niepodobna się takiego zalecenia trzymać. Wielu tu spoczywających, jak widzę, mogłoby być i moimi studentami, a poległy 24 marca 2022 r. Andrij Kozaczenko – urodzony w maju 1978 r., gdy ja zdawałem maturę – 26 czerwca 2002 r. mógł też spokojnie uczestniczyć w pamiętnym spotkaniu Jana Pawła II z młodzieżą ukraińską w robotniczej dzielnicy Sychów Lwowa, gdzie i ja także byłem.

Już ostatniego dnia naszego pobytu we Lwowie wybrałem się przed południem z hotelu na dziesięciokilometrową przebieżkę po Starym Mieście, poznając w ten sposób na nowo wiele tak bliskich memu sercu ulic, placów, kościołów, pomników. Parę z tych ostatnich, m.in. znana kolumna Adama Mickiewicza stoi w Mieście Lwa nieprzerwanie od 1904 i nigdy dotąd – naprawdę cud Boży! – nie była uszkodzona. Jednakże teraz nasz polski wieszcz chroniony jest przed rodakami Puskizina oraz ich „wyzwolicielskimi raketami” specjalnie przygotowanymi na ten złowrogi czas przez lwowian metalowymi osłonami.

Jeszcze na Starym Mieście – na moim siódmym już kilometrze – rozległy się w powietrzu złowrogie syreny, bo jakiś MiG-31K – potencjalny transportowiec raket typu Kindżał – poderwał się w towarzystwie dwóch myśliwców niczym sęp do lotu w sąsiedniej „braterskiej” Białorusi. Skoro jednak ludzie dalej szli sobie jak gdyby nigdy nic, to i ja dobiegłem do hotelu bez obaw i przeszokł. Po drodze uprzytomniłem sobie jednak, jak wiele miast dzisiejszej obłożonej Ukrainy – Chersoń, Charków, Zaporozże, Nikopol, Kijów, a nawet nieodległy Chmielnicki (dawny Płoskirów, gdzie Zagłoba zobaczył Bohuna!) – ostrzelanych jest śmiernociosnymi raketami przeważnie ziemnymi, ciemnymi nocami. Stałami i zarazem przed oczyma potworny obraz kilkuset zabitych przez artylerię ukraińską – w sylwestrowo-norowoczną noc 2022/2023 – nowo zmobilizowanych rosyjskich młodych żołnierzy. Ale nie cytuję z Konopnickiej, o nie, za brzmiał mi wtedy w uszach, ale pamiętny fragment z „Reduty Orдона”:

*„Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
Nie, on siedzi o pięćset mil na swej stolicy,
Król wielki, samowładnik świata połowicy
Zmarszczył brwi, – i tysiące kibitek wnet leci;
Podpisał, – tysiąc matek optakuje dzieci;
[...] Ale spiąją się wojska, których Bóg i wiara
Jest car. – Car gniewny: umrzem, rozweselim cara!”*

Powstaniec listopadowy Konstanty Julian Ordon, przez Mickiewicza unieśmiertelniony, przypatruje się dziś temu wszystkiemu ze zgrozą właśnie z Cmentarza Łyczakowskiego.

Wyjeżdżamy ze Lwowa przez Przemyśl do Krosna późnym wieczorem 4 stycznia, trzecia część miasta – zgola inaczej, niż to było za naszego pobytu – tonie teraz w egipskich ciemnościach. Taka bowiem „energetyczna trójpolówka” – wyłączenie i włączenie energii w podzielonym na trzy energetyczne rejony mieście – obowiązuje we Lwowie podczas obecnego „wyzwalania”. Dobrze, że nasza krośnieńska uczelnia przesłała skutecznymi kanałami bratniej Akademii Drukarstwa potężny generator, a także kupione ze zbiorów uczelnianych powerbanki, i że wszystko dotarło do Lwowa jeszcze za naszego pobytu. Każdy z nas zabrał z Podkarpacia po 5-kilogramowym UPS-ie dla odcinanych od prądu komputerów Akademii Drukarstwa we Lwowie. /©©